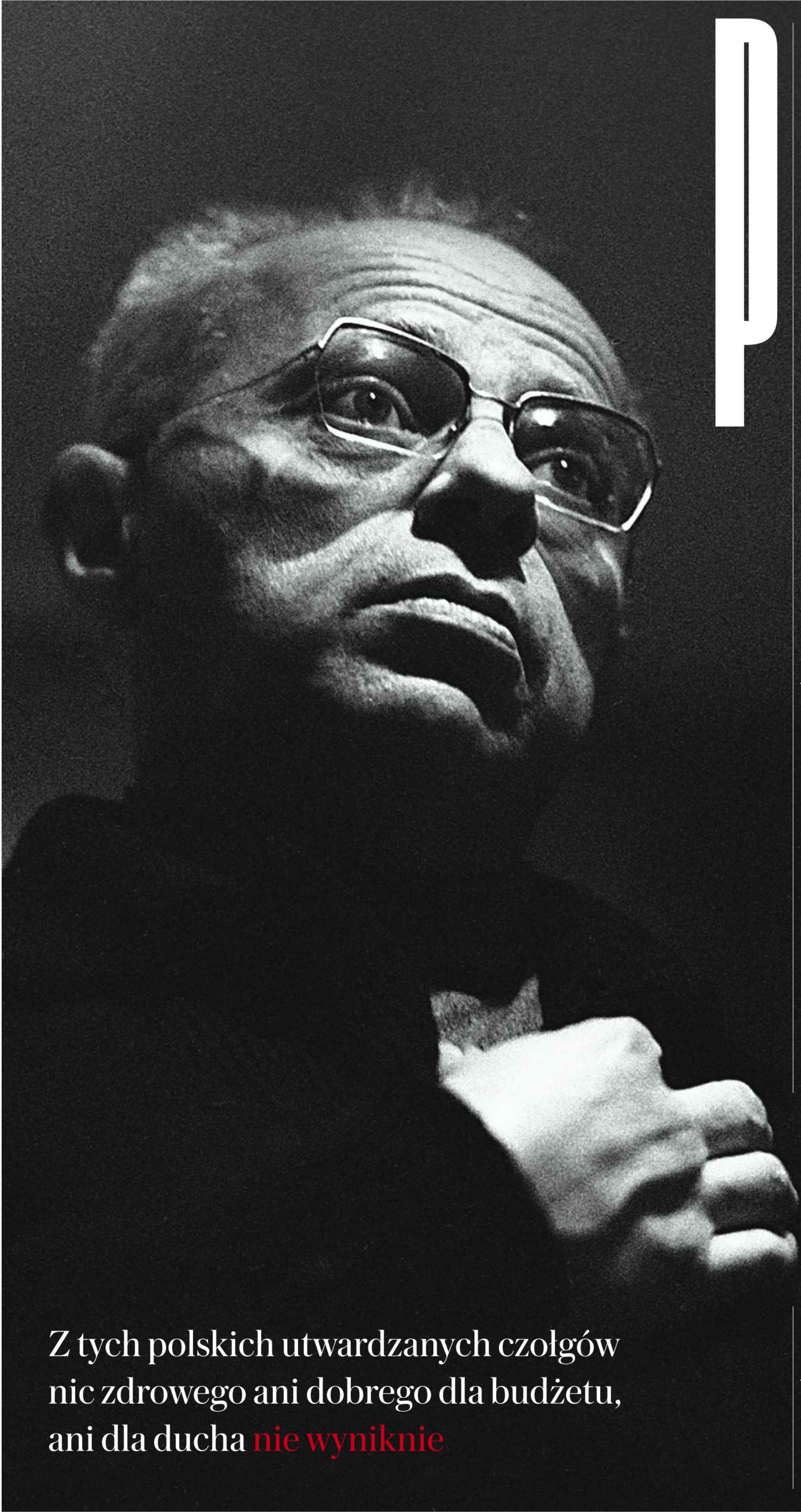


FOT. MACIEJ MUSIAŁ-AR/ PAP



Z tych polskich utwardzanych czołgów
nic zdrowego ani dobrego dla budżetu,
ani dla ducha **nie wyniknie**

P Przewidywać przyszłość można najłatwiej, kiedy się uznaje, że zajdzie to, co uchodzi aktualnie za całkowitą niemożliwość, za „sen wariata śniony nieprzytomnie”, za nieziszczalne rojenie.

Kiedy się pisze literackie teksty, można, a nawet należy się nie powtarzać. To zresztą bardzo trudne, zwłaszcza obecnie, gdyż w obszarze ducha panuje nie mniejszy tłok aniżeli w zwykłym świecie. Natomiast powtarzanie się, gdy mowa o tym, co już jest i z czego urosnie przyszłość, to istne przekleństwo. Jeszcze jako prezydent CSRF powiedział o tym Václav Havel: co to za bieda, że trzeba bezustannie jedno i to samo od nowa powtarzać! Próbowałem się tej zmożrze przeciwstawić, ale właśnie w literaturze tylko, i to też nie ze wszystkim mi się udało. Ale kiedy przyszłość rozważać, nie ma rady: to jakby ktoś chciał sporządzić atlas anatomii człowieka, a właściwie wiele atlasów, tak żeby każdy był zupełnie inny. Istnieją zapewne odmiany w budowie ludzkiego ciała, ale znów nie aż takie, żeby jedni ludzie mieli szyję jak żyrafy, a inni potrafili dzięki skrzeliom oddychać pod wodą. Ponieważ przyszłości jednak „nie ma”, w tym sensie przynajmniej, w jakim są, tj. istnieją stoły i drzewa, można sobie pozwolić na wiele w świętym przeświadczeniu, że wcale się nie baje, lecz prawi o tym, co będzie.

Polemizując z pewnym meliorystą szkoły filozofa Panglossa, powiedział Arthur Schopenhauer (w replce na głos tamtego, iż zmierzamy ku coraz lepszemu światu): „Ach, jaka szkoda, żeśmy nie zaczęli zmierzać nieco wcześniej, bo już byśmy TAM byli!”. W tym „raju na Ziemi”. Marksizm notabene obiecał go, a jaki był finisz, wiadomo. Już iks razy powtarzałem, że przewidywać przyszłość można najłatwiej, kiedy się uznaje, że zajdzie to, co uchodzi aktualnie za całkowitą niemożliwość, za „sen wariata śniony nieprzytomnie”, za nieziszczalne rojenie. Jakoż dla złośliwej uciechy sięgam niekiedy po któreś z opasłych dzieł na regałach „futurolologicznych” mojej biblioteki. Błamaż nieszczęsnej futurologii okazał się okropny, ponieważ nie to nawet zaszło, co eksperci uważali za najmniej prawdopodobne. Zaszło to, co im nawet jako pełne nieprawdopodobieństwo w ogóle do głowy nie przyszło: dmuchawcowaty rozpad potężnego imperium sowieckiego. Do dzisiaj nikt nie wie dobrze dlaczego. Jak matki starają się straszeniem doprowadzić dzieci do grzecznego ładu, tak politycy poniektórzy usiłują przerazić nas perspektywą powrotu komuny. Daremne trwogi, próżny trud, bezsilne przestraszenia: komuny nie ma, nie powróci i bająć tych nikt serio brać nie powinien. Co więc będzie?

Żmudna i ryzykowna musi być analiza przyszłości nie tylko dlatego, ponieważ owa przyszłość zależy od bez liku nieprzewidywalnych decyzji ludzi, zwłaszcza, ale nie tylko, ludzi możliwych – tych, co są u władzy politycznej i ekonomicznej. Można ewentualnie uwagę koncentrować na tym, co polityczne, lub raczej na tym, co technologiczno-ekonomiczne, ale przyszłość to wypadkowa splotu co najmniej obu stron takich równań.

P iszę „odsiebnie”, ponieważ uważam to za uczciwsze od udawania, jakobym, zjadłszy wszystkie rozumy, mógł bez- czy ponadosobowo głosić pewniki futurystyczne. Reguła ogólna jest w tym zakresie z grubsza taka oto. Jeżeli się zajmować poszczególnymi osobami, zdarzeniami, krajami, nawet technikami (np. komunikacji albo geriatrii, albo sterowania klimatem), niepewność jest olbrzymia. Cóż możemy powiedzieć o tym, jak potoczy się los sąsiada? Może zostanie raka, a może miliard na loterii wygra, może się okaże jego ożenek też wygraną na loterii, a może rodzinnym piekłem?

Natomiast im większe zbiory zająć jakichkolwiek oglądamy spójnie, tym jawniej poczyna zarys swego oblicza ukazywać statystyka. Jeszcze nie jest pewne, co

BŁOGOSŁAWIENI NIECH BĘDĄ BEZPŁODNI

Astrofizyka gwarantuje nam finis historiae humanitatis

Stanisław Lem

poczną obywatele pewnego kraju, może wdadzą się w obląkańczą wojnę domową bez zwycięzców, a może będą solidarnie współpracowali, z czego pójdzie zespółowy pożytek? Natomiast kiedy już wszystkie kraje, całą ludzkość obejmujemy statystycznym oglądem, okaże się, że zza rachuby zaczynają z wolna wylaniać się warunki graniczne. Nie myślę tu o takich warunkach już niepokonywalnych jak wypalenie się zasobów wodoru w Słońcu i wywołana tym jego przemiana w Czerwonego Olbrzyma, który za jakieś cztery miliardy lat (lub nieco wcześniej nawet) pochłonie i Ziemię, ponieważ spuchnie aż poza jej orbitę. Ten finis historiae humanitatis zajdzie na pewno, to nam astrofizyka gwarantuje, ale skala czasowa pozwala umniejszyć stroskanie.

Natomiast chciałoby się dowiedzieć, co będzie za 20, za 50, za 80 lat. Jak czytam i słyszę, za pomocą metody zwanej „Kryminałem i Pastorałem”, ogromnej większości dziś poczynanych dzieci uratowano w Polsce życie, wbrew zakusom rozmaitych rzeczników aborcji. Dobrze. Ale czyżby los tych dzieci już nic a nic nas nie miał obchodzić? Zresztą mnie nie chodzi tylko i przede wszystkim oraz wyłącznie o los dzieci w Polsce, tzw. nienarodzonych prawdziwych Polaków. Chodzi mi o wszystkie dzieci, o wszystkich ludzi, dlaczego, sam dobrze nie wiem, ale tak po prostu jest. I w tym duchu gotów jestem kilka kwestii poruszyć.

O rozwoju wszelakich technik, od medycznych po kosmiczno-inżynieryjne, pisywałem sporo ponad trzydzieści już lat temu. „Summa Technologiae” nie była tu książką jedyną. A o politycznych perturbacjach świata tyle, co nic, z dwu powodów. Po pierwsze, nie wiedziałem, co polityczne dzieje przyniosą nam: to jak w tej starej anegdocie, w której mieszczanie wyjaśnili Napoleonowi, dlaczego nie powitali go salwą; bo nie mamy, rzekli, armat. Ale może warto jednak podać drugi, niearmatni powód mojego milczenia, porządnie trywialny. Mianowicie pisałem w PRL-u i była nade mną cenzura. Za stalinizmu nawet cybernetyka, więc temat po technicznej stronie był zakazany, a gdy te zakazy padły, pozostały „wartości marksowsko-leninowskie” w mocy.

Na wygnaniu dość luksusowym, chociaż przykrym, za stanu wojennego, w Wiedniu, już swobodniej mogłem to i owo snuć u redaktora Giedroycia w „Kulturze” paryskiej, ale po prostu rzecz

tę, co mi się po głowie snuło, po prostu nie śmiałem, a tylko wspominałem o tym w tej „Kulturze”: że bazy produkcyjnej nie można odtworzyć dzięki wykradaniu produktów tej bazy: nie można np. fabryki rakiet zbudować dzięki sekcji ukradzionej rakiety. Taki rodzaj „reverse engineering” jest niemożliwy i przez to, pisałem, Sowiety już innowacyjnie i zbrojeniowo rozpędzonej Ameryki nie dogonią. Czyli wyścig ten przegrają. I posługiwałem się obrazem olbrzyma z atomową maczugą w garści: maczugą mu rośnie, a on już sam maleje, aż na koniec karzelek ugina się i pada pod ciężarem spotworniałej maczugi. Nie potrafiłem jednak orzec ani jak prędko to nastąpi, ani też czy to może zajść bez wybuchów społecznych i atomowych; czy jest możliwe, ażeby ZSRR rozleciał się cicho jak purchawka trącona nogą. To, trzeba rzec, już mi się całkiem w głowie nie mieściło. Jakoż dobrze nikt nie wie do dzisiaj, czemu właśnie to zaszło. Natomiast jeszcze nie dotarliśmy do szerszego uświadomienia, jakie też będzie miał ten rozpad globalne konsekwencje.

W prywatnych raczej rozmowach u nas, gdy ktoś jakiś chociażby i czwartorzędny rys „komuny” przychwali, zaraz usłyszysz reprimendę, gdyż z odzyskania niepodległości należy się cieszyć i nic pozytywnego o potworze, który nas pochłoniął (i strawić usiłował na własne podobieństwo), wypowiedzieć nie wolno. Byłby to okropny grzech antypatriotyzmu.

Grzech czy nie grzech, faktem jest, a co najmniej wydaje mi się, że ten upadek Imperium Zła zostanie przez historyków nadchodzącego wieku nazwany przede wszystkim globalną katastrofą. I to dubeltową. Po pierwsze, zaszło coś takiego, czego unaocznieniem będą dwa zespoły ludzi przeciągających linę. Starzy i młodzi, dzieci i kobiety, wszyscy uczepieni przeciwnych końców tej liny ciągną i ciągną, aż im oczy na wierzch wylażą i setny pot czoła oblewa. A gdyby się ziemia obsunęła pod jednym zespołem tak, żeby linę naraz puścił, „zwycięzcy” po drugiej stronie runą przecież pokotem, nogami się nakryją i dopiero po dobrej chwili zaczną się brać do wykaraskania z piachu i gliny. Nieprawdaż? W takim właśnie stanie zamętu, dezorientacji, niepewności: a co teraz właściwie mamy robić, co będzie z nami? – cały świat się znajduje. Ale ten obraz uwidacznia tylko jedną stronę, jeden, czy to „siłowy”, z mocowania się wywiedziony aspekt „zimnej wojny” z tą liną. A to ponieważ zdarzało się już w dziejach, że im-

peria padały czy rozpadały się: rzymskie starożytne, brytyjskie i tak dalej. Ale nie zespawała ich taka jedyna idea, jaką był marksizm, obietnica zbudowania raju na ziemi, jako znakomitszej alternatywy paskudnego kapitalizmu z jego koszmarnym rynkiem, z walką egoistyczną interesów, z brzydotą, wyrastającą rychło z „permissyjnej wolności”.

Po wtóre, i to jest nawet bodajże jeszcze donioślejsze, rozleciał się i tym samym przepadł plan sporządzenia na Ziemi świetnej przyszłości w sposób „naukowy”, prawami ruchu historycznego zagwarantowany, policyjnie podparty, a przepadł ci on, demonstrując na losach i na ciałach ludzi zamęczonych, którzy zostali zmuszeni pracować i na własne nieszczęście, i na zgubę innych, że zamiast raju powstaje coś na kształt piekła. Ten upadek pozostawił po sobie zgubny czad, którym się także zaraziły czy zatruiły ruchy dotąd bolszewię zwalczające. Przecież już widać, że politycy tych ruchów próbują obrócić „wartości chrześcijańskie” w nową cenzurę i nową inwigilację wszystkich, a zatem działać konwersją siłową i przymusową, co stoi w sprzeczności ze źródłem Chrystusowym wartości ewangelicznych. Wszak Jezus ani myślał, ani mówił o tym, że należy ludzi zmuszać karami ziemskimi, ażeby miłowali bliźnich i żeby penalizować grzech. Jednym słowem, Ewangelia nie obiecuje zbawienia ludzi gwałtem, a gdyby to miało być jej założeniem, to prościej przecież postąpiłby Bóg jako Wszchemogący, gdyby po prostu unieвозмоżliwił czynienie zła poprzez odebranie ludziom wolnej woli i właśnie z tego Bożego powściągu pochodzi możliwość szkodenia bliźnim, a króćce Zło.

Nie będę się w teodyceę zagłębiał dalej, raczej wspomnę, że akt zarażenia złą schemat może zajść i poza wiarą. Wszak kiedy skuteczny lek zabija bakterie w ustroju, bywa, iż z ich rozpadu wypływają toksyny, które pogarszają póty stan chorobowy, aż ustrój da sobie z nimi radę.

Marksizm jako wzór do wdrożenia i naśladowania też się rozprzestrzenił po planecie, w ubogich krajach Trzeciego Świata zwłaszcza, w Afryce, i kiedy się pokazało nagle, w samej „centrali”, w obszarze głównego „eksperymentu paradyzacyjnego”, że diabeł on wart, konfuzja zatrzęsa mnóstwem państw, ruchów i partyzantki komunistycznej, a na-

wet terroryzmem, co np. zwał siebie „Fracją Armii Czerwonej” jak w Niemczech, bo skoro kompasy do bani, mapy sfalszowane, u celu nie raj, lecz masowe groby, co teraz robić? A jeszcze można jako „po trzecie” dodać to, że rozpadle Sowiety pozostawiły po sobie istne góry broni, śmierci czasowo zamkniętej w bombach nuklearnych, głowicach, czołgach, potopione reaktory łodzi podwodnych, i z jednej strony amatorów rozdrapywania tych arsenałów, płacących dobrą gotówką jest huk, a z drugiej strony rozbrojenie nie kosztuje znów dużo mniej aniżeli wyścig zbrojeń.

Nie jest to więc cichy pochówek, wprost przeciwnie, świat został w stanie bezradności („ukradliśmy wam obraz wroga” – rzekł pewien polityk ekssovietcki Amerykanom), bez conceptów, już nawet kryzys globalny, upadek funta, przecięcie RFN zjednoczeniem z byłą NRD, chaos w głowach, eksplozję nacjonalizmów i bezsensowne masakry w Bośni nazywa się efektem sowieckiej implozji. A teraz zdaje się ważne przez modernizację podratowanie także w Polsce przemysłu zbrojeniowego, bo jego likwidacja utworzy armię bezrobotnych, więc budujemy rakiety i czołgi, i armaty, byle miejsca pracy ratować.

Co prawda przemysł ten przestarzał się nieco. Może zadziwi tego czy owego wieść, iż na poligonach ekssovietckich konstruuje się, przy amerykańskiej pomocy i współpracy z Pentagonem, takie układy napędowe, które pozwolą samolotom jeszcze nie całkiem istniejącej następnej generacji startować z Ziemi, wzbijając się w atmosferze i wychodzić z niej na orbity kosmiczne. Jednakowoż zapewniać się ośmielę, że na coś takiego nas nie stać i że żadna modernizacja przemysłu mieleckiego czy szerzej – lotniczego – w Polsce do nowego kroku w zdobywaniu Kosmosu nie doprowadzi. Zdolności może i mielibyśmy, ale kapitału już nie. Uważam też, że nie wypada głosić „wartości chrześcijańskich” w dziedzinie seksu i jednocześnie dążyć do roli „handlarzy śmierci” (czyli broni). Przez Polaków tak ukochana Ameryka porządnie nam da nie tylko po palcach i nie ona jedna, kiedy przyjdzie do konkurencji na światowych rynkach wszelakich rakiet, ładunków kumulacyjnych, min, armat itp. Zresztą na polu tym panuje nadal ogromne przyspieszenie, w którym notabene dawno upatrywałem właśnie szansy implozji Sowietów. Mianowicie wzrost koniecznych wkładów inwestycyjnych w ten właśnie przemysł był wykładniczy, to jest do potęg.

Samoloty I wojny światowej kosztowały mniej niż Rolls-Royce dzisiaj, jako że do ich budowy trzeba było prostych silniczków, płótna żaglowego, drutu, kółek, a jeden odrzutowy myśliwiec bombardujący samej elektroniki ma dziś w „nadzieniu” za setki milionów dolarów, i gdy to dalej pójdzie, generacji roku 2020 będą może miliardy już potrzebne. W tym wyścigu zatem odpadniemy prędzej czy później, chociaż załogi takich zakładów będą blokowały drogi, ministerstwa, strajkowały, innych do współstrajkowania nakłaniały, ratowania miejsc pracy domagały się coraz srożej, lecz to nic oprócz porażki nie przyniesie, ponieważ można wprawdzie nauczyć się skoków wzwyż, ale kościelnej wieży po najdłuższym treningu nikt nie przeskoczy. To bardzo przykre, fatalne nawet, ale z tych polskich „utwardzanych”, aktywnie parujących ostrzał przeciwpancerny czołgów nic zdrowego ani dobrego dla budżetu ani dla ducha nie wyniknie. Ale to uwaga na marginesie naszych wywodów, wygłoszona bez nacisku, gdyż i tak nikt przecież głosu rozsądku nie usłucha: zresztą, alternatywę stanowi, niestety, znów kosztmarne bezrobocie. Toż i z węglem. Ale tu już stanowczo zamilknąć muszę.

Wzorzec marksowski ekonomicznego rozwoju okazał się na koniec nic niewart, a nawet bardzo szkodliwy. Mianowicie nie do raju usiłował ludzkość zaprowadzić ten system, lecz do hegemonii sowieckiej w skali globu, do zamordyzmu Orwellowskiego i co było mi zawsze dziwne, to nadludzki wręcz wysiłek zachodnich intelektualistów, wysiłek ślepoty na ludobójczą stronę ustroju, który wycisnął z ujarzmionych narodów góry trupów razem z górami śmiercionośnego uzbrojenia jako wstępnych półproduktów rusztowaniowych obicanego raju. Po tym wysiłku, który trzasnął z wielkim wstydem, pozostała próżnia, więc starają się ją zapelnąć, czym mogą. Nawet katechizm nowy mają jakoś wypełnić, zdaje się, we Francji zwłaszcza, gdzie rozmaite odmiany leninowości obradzały wspaniale, gdzie się maolizm z czerwoną książeczką banałów rozwijał cudownie. Mniejsza i o to.

Tak zatem, jak po trzęsieniu ziemi pojawiają się wtórne wstrząsy, zwane „aftershocks” przez Amerykanów w sejsmicznych strefach, tak po politycznej zapaści Sowietów mamy krajobraz politycznych ruin, z których wyrzębuje się każdy, jak może, i który to krajobraz objawia najzupełniej nieprzewidziane efekty, bo o tym, co będzie po ostatnim Politbiurze, jakoś nikt nie myślał planująco. Właściwie wszyscy stali się ignorantami z bezmyślnego zaskoczenia i zadziwienia. Przeliczyli się Niemcy, sądząc, że raz-dwa dadzą sobie radę z podłączeniem tej NRD, która pełniła wszak funkcję „okna wystawowego” socjalizmu „realnego”, że obie połówki Niemiec pospawa się bez blizny i bez szwu, a tymczasem już znaczny kryzys i recesja, i „Solidarpakt”, i koalicja się chwieje. Przeliczyli się patrioci i doprawdy jest jakieś diabelstwo w tym, jak postkomunistyczna swoboda przede wszystkim rozszarpuje, niszczy i depcze ludzi, którzy po więzieniach o tęż swobodę tak rozpaczliwie walczyli, a depczą ich ci, co raczej pod miotłą siedzieli albo nawet sami wysługiwali się rozmaitymi podłostkami Czerwonej Władzy.

Te nowsze świadectwa, naturze ludzkiej wystawiane, chwalebne nie są. O tym, co się w Polsce dzieje, o tych rozmaitych wojnach na górze słowa nie powiem, bo mi już od tego słabo. Przecież można uzyskać z lektury bez liku jakoby swobodnych i bezcenzuralnych gazet, z prasy całej wrażenie, że Polska znajduje się na niewidocznej z Ziemi stronie Księżyca, toteż jej nic ze świata nie obchodzi. Czy może ktoś życzyłby sobie chociaż jednego dowodu lub przynajmniej poszlaki na rzecz tego, co mówię? Proszę bardzo. Od 1989 roku jesteśmy takim polsko-poberlińskim murem odgradzeni od całego zestroju posowieckich państw, że żadnej gazety rosyjskiej lub ukraińskiej, żadnego literackiego albo naukowego pisma czy innego perio-

dyku w kraju nie kupisz, bo w kolportażu nic nie ma, i muszę na tym polegać, co mi moskwiczanie przysyłają prywatnie pocztą. Przecież to jest zgroza, ale nikt się o tej blokadzie, o tym informacyjnym embargu jakoś nie zająknie nawet, nic, tylko sprawy krajowe: to, jak się ma ostatni ryś, nim sko- na we wnykach kłusownika.

Jawne i potajemne mocowanie się obu supermocarstw biegło jako zimna wojna na całej kuli ziemskiej. NATO powstało jako obronny sojusz. Teraz jest w rozterce, nie chcąc interweniować w sferę południowoeuropejskiego ludobójstwa. Projekt utworzenia „jednej Europy”, urodzony w Maastricht przez biurokratów, był (jak już piszą) w istocie rzeczy próbą szczelniejszego zamknięcia się i odgradzenia od poimperialnego gruzu na Wschodzie, wbrew wyraźniejszej nieochocie poszczególnych narodów jak Francuzi czy Niemcy: pośrednio też spowodował tę (już na pół poronioną) próbę upadek ZSRR. Zamiast rozkwitu uwolnionych od ciężaru zbrojeń społeczności poszerza się światowy kryzys, który trafil najpierw funta angielskiego, zarazem i Niemcy, i potęguje bezrobocie oraz sprzyja wojnie celnej USA z Europą. Afryka staje się

Politycy próbują obrócić „wartości chrześcijańskie” w nową cenzurę i nową inwigilację wszystkich

szlachtauzem, interwencji humanitarne zaś przypominają (choć niewesoło) anegdotę o tym, co zgubionego klucza szukał pod latarnią, gdzie jasno, choć go zgubił w ciemnościach. Jakoż Amerykanie posłali piechotę morską dla pilnowania rozdawnictwa żywności w Somalii, ale już ją wycofują: gest był zatem czysto symboliczny, boż trudno uznać opłacalność operacji, która dostarczy śniadania i obiadu, ale tylko na parę dni, a co potem? Przecież ci czarni bandyci, którzy nie bardzo nawet ulękli się „marines”, po ich odlocie podejmą znów krwawą walkę i głód zamorzy chwilowo podratowanych.

Nasz papież nazwał brak pomocy Trzeciemu Światu ze strony bogatych „skandalem”. Niestety, to już nie skandal. Jeżeli nie nakarmię jednego głodnego albo i stu, będzie to skandal, ale jeśli ujrzę ich miliard, czyż byłbym w stanie nakarmić wszystkich? To nie sytuacja skandalu, to sytuacja masowego nieszczęścia i konania, czyli katastrofy żywiołowej. Wybuch bomby demograficznej oznacza coraz krótszy okres, w którym podwaja się liczba mieszkańców Ziemi. Zachęcać do nieograniczonej płodności, zwać antynatalistyczną politykę grzechem to dolewać oliwy do ognia szerzącej się agonii mas ludzkich. Należy po prostu widzieć skalę zjawisk i wedle ich rozmiaru działać. Pomoc niedostateczna dzisiaj i wręcz daremna jutro może znieczuli nam sumienie, ale katastrofy światowej nie zaleczy i zamiast ją chociaż odwlec, przyspieszy.

Zresztą oceny demografów podają ludność roku 2000 jako sześciomiliardową, przy czym dwuprocentowy wskaźnik przyrostów dotyczy najbiedniejszych. To Trzeci Świat będzie się odznaczał 97 procentami owego przyrostu, a jedno pokolenie później Ziemia już okaże się przeciążona tak biosferycznie, jak agrarnie, w krajach zamożnych nasili się seria za-walów (motoryzacyjnego, energetycznego, nawet kosmonautycznego, gdyż okole Ziemi staje się wirowiskiem rakietowych i sputnikowych szczątków), oceany będą zatrutowane ropą z podległych awariom tankowców,

gleba okaże się zatruta, wody stoków lądowych martwe i trujące, a o śmiertelności nowo narodzonych dzieci na naszym Śląsku – wskaźnik umieralności niemowląt jest do czterech, a nawet do sześciu razy wyższy niż na Zachodzie – pisze raczej prasa poza Polską, gdyż u nas broni się przede wszystkim „zygot”. Zresztą wysoka śmiertelność noworodków i częstotliwość poronień nie są jedynym zjawiskiem. Skutki zatrucia środowiska osiadają w dzieciach przeżywających, jako np. ołowica powodująca niedorozwój umysłowy. O dane statystyczne nie jest trudno.

Wszyscy eksperci „od kryzysów” są zgodni co do ich pierwszej przyczyny. Potencjał samoocyszczalności Ziemi jako środowiska życiowego ulega przeciążeniu, a jest to efekt wzrostu ludzkości w tempie wykładniczym. Bez cywilizacyjnej maszyny przemysłowej już jako nazbyt liczni nie przeżyjemy, a kto chce wrócić w słodką przeszłość, zapadnie się w głodującej masie nieszczęśników Trzeciego Świata. Nawet AIDS, mogący uśmiercić do stu milionów ludzi w roku 2000, nie jest w stanie wyhamować demograficznej ekspansji naszego gatunku. Czemu tak? Ponie-

waż półtora miliona lat temu, gdy gatunek homo powstawał, tylko wysoka płodność mogła przeciwdziałać wysokiej śmiertelności, a jeszcze przeciętny wiek nie przekraczał 30 lat. Ten wiek się obecnie potraja, a zrazem dzięki postępom medycyny liczba obecnych w populacji dzieci, które dawniej by zmarły, niedonosków, wcześniaków oraz ciężko upośledzonych dziedzicznie rośnie. Bez energii atomowej ani rusz, a z tą energią nawet bez awarii jak czarnobylska – wzrost liczby białaczek wskutek rozproszonego promieniowania – i tak dalej. Żyjemy, jedynym słowem, już w epoce eksplozji demograficznej.

Znane są sposoby jej powstrzymania. Pierwszy, niezalecany, ale znany, polega na tym, że się po prostu nic nie robi, że mający się lepiej przyglądają się (np. w telewizji, chrupiąc orzeszki ziemne) masowemu konaniu dzieci-szkielecików obłożonych przez muchy. Obraz to znany i może nieumyślne, ale bezustannie nas się do niego przyzwyczajają. Bylejakosć życia ludzkiego i powszechność nędznego umierania stają się normalnym stanem, w który wrastają dojrzewające generacje: taki jest świat, w jakim przyjdzie im żyć.

Masowe zabijanie typu wojennego ekspansji nie hamuje: dowodem obie wojny światowe, które uśmierceniem 70 milionów ludzi wytworzyły na demograficznej krzywej wzrostów globalnych omal niewidzialny ząbek. Toteż mając na uwadze poszukiwanie środka najbardziej humanitarnego, który żadnych szkód na duchu i ciele nie przynosi, w wielu publikacjach (ogłoszonych we Francji, w Polsce, Niemczech, Rosji) sugerowałem przyszłą konieczność uruchomienia „sex wars”, a dokładniej – niewojennego naturalnie oddziaływania (quasi-hormonowego) na kobiety i/albo na mężczyzn, które by zmniejszało prokreacyjną prężność ludzką. (Nie jako pierwszy zresztą to propagowałem: miałem w literaturze fachowej poprzedników.)

Dziwaczne było mi totalne milczenie, brak echa polemicznego. Pisałem, że środ-

ków działających masowo bez indywidualowej interwencji nie mamy (Norplant w USA, igielka do wszczepienia pod skórę, wymaga 300 dolarów i zastrzyku), lecz biochemia farmaceutyczna jest już na tej drodze i co rok zjawiają się nowe preparaty. Najpierw tak zwane wczesnoporonne (jak RU 486), które nie dopuszczają do wgnieżdżenia się jajeczka w śluzówkę macicy, a potem, już teraz, odpowiednik „męski”, który w ogóle do powstania zygoty przez połączenie jajeczka z plemnikiem nie dopuszcza, tj. nawet wczesnoporonnym preparatem już nie jest. Preparat ten uniemożliwia jedynie dojrzewanie plemników u mężczyzny, chociaż na tak zwaną potentia coeundi nie wpływa: tak potraktowany nawet nie wie nic o tym, iż stał się bezpłodny, bo może normalnie uprawiać seks. Lecz i ten preparat wymaga indywidualnego dozowania i iniekcji. (Przywrócić płodność można łatwo u obu płci osobnym zabiegiem, którego nie opiszę, boż nie zajmuję się tu propagowaniem osiągnięć medycyny, zajętej działaniem hormonów u człowieka). Można jednak z rosnącą pewnością oczekiwać dalszych postępów, które wszelkie indywidualnie stosowane sposoby hamowania płodności zastąpią nawet niedostrzegalnym, czysto „kryptobiologicznym” działaniem, np. dzięki preparatom wziewnym, dodatkom do żywności i wody, i tak dalej.

Strategia ta wydaje mi się optymalna humanitarnie i bardziej stosowna aniżeli (również urzeczywistnialne) rozpowszechnianie impotencji, np. dzięki środkiem likwidującym totalnie libido (popęd płciowy) oraz przyjemności związane z aktem seksualnym (obecnie obrócone na obszar bardzo zyskownych aktywności na skalę przemysłową „permisyjnego Zachodu”). Ale wszelkie działanie skierowane w Trzeci Świat jest dziś praktycznie niemożliwe nie przez brak środków (których na razie w postaci wydoskonalonej – jak wyżej – nie ma), lecz na skutek drastycznej sprzeczności takich działań z etycznymi i politycznymi tradycjami demokratycznego ustroju i w tę stronę zorientowanego światowego trendu. Oprócz środka byłaby zatem niezbędna jakaś postać zgody i uzyskać ją będzie znacznie trudniej aniżeli sam środek. Nie mam żadnej wątpliwości w tym względzie, chociaż w jednym z opowiadań opisałem preparat zniechęcający intensywnie do seksu, nazwany tam „Nosex”. Ale to była już fantazja, niewinna, ponieważ z krainy Science Fiction, zaś concept przyda się może kiedyś na inną okazję.

Redukcja zaludnienia planety do jakichś dwu miliardów rychło by załatwiła nam wszystkie problemy, razem z eksplozją bezrobocia, którą notabene Norbert Wiener w swojej książce „Human Use of Human Beings” przewidywał jako rezultaty automatyzacji przemysłów już 43 lata temu. Jest to jednak wariant nad wszelki wyraz optymistyczny i jak dotąd, w obliczu zaiste przerażającej bierności panów polityków-demokratów wobec rzeźni serbsko-bośniackiej i wobec prób Rosji odzyskania „statusu mocarstwa” przez wspieranie ludobójców na forum międzynarodowym, niestety, mało prawdopodobny. Lecz dewizą zamykającą mi te słowa będzie contra spem spero, ponieważ to zachodzi w dziejach, co się nam współczesnym nie do wiary wydaje. ●

Luty '93

Esej ukazał się w Wielki Piątek 1993 roku w „Magazynie Gazety Wyborczej” pod tytułem „Na progu XXI wieku, czyli z deszczu pod rynnę”